

Co mówią kucharki ministrów O kryzysie i drożyznie we Francji

Niezwykły wywiad z kucharkami 3-ch ministrów

Rząd Doumergue'a dużo mówi o zwalczaniu kryzysu i drożyzny produktów pierwszej potrzeby. Trzech ministrów opracowało plan kampanii — Herriot walczy z drożyzną mięsa, Tardieu — dąży do obniżenia cen nabiału, Queille zajął się chlebem i warzywami. Podobno, spowodował afera Stawskiego, która zaprzęgnęła wszystkie umysły we Francji, wojna z kryzysem została odroczone na późniejszą jesień. Ministrowie, zapytani przez dziennikarzy, kiedy chleb potanieje, odpowiadają tajemniczymi uśmiechami i wzruszeniem ramion.

— Dajmy spokój mężom stanu — pisze sprawozdawca Candide'a, Coulaud — nie należy zadawać im niedyskretnych pytań. Są zajęci czym innym. Zamiast nich weźmiemy na spyt ich kucharki i gospodynie. One to najlepiej mogą ocenić działalność swoich chlebobawców.

— Miewałem wywiady z ministrami, wygnanymi królami, władczyniami teatru i ekranu, z bandytami, nie wątpię, że potrafie prowadzić rozmowę z kucharką ministra.

Niestety, okazało się, że kucharki są odporniejsze od ministrów.

— Pewnego ranka udałem się na plac Fontevant, gdzie pan Edward Herriot popasa w cichym mieszkaniu, otoczony opieką wiernej a sławnej Cezaryny. Kucharka b. premiera i burmistrza Lyonu zdobyła niemalą popularność w Ministerstwie Marynarki Handlowej. Woźni wytkają ją palcami.

— To Cezaryna — kucharka Herriota.

Żandarmi, pełniący wartę na parterze, podkręcają waga na jej widok. Warto kokietać kucharkę męża stanu.

Spotkałem ją w kuluarach ministerstwa. Usłyszawszy moją propozycję, ściągnęła gniewnie brwi.

— Nie znoszę dziennikarzy — odparła sucho. — Nie cierpię także fotografów, i tych tam malarzy. Obsmarowali mnie w gazecie. Tak — tak — to była ta gazeta, w której pan pracuje. Candide... Pani zawsze czyta.

Zapewniłem Cezarynę, że nasz rysownik nie chciał jej dotknąć. Ale Cezaryna odwróciła się ty-

łem i bez słów wyszła na dwór. Pobiegłem za nią. Dźwigała dwa wielkie kosze — widocznie szła „na miasto”. Gdy mnie zobaczyła zatrzymała się i rzekła wyniośle.

— Czego pan chce. Ja nie jestem kuchta, tylko pokojówka. To gruba różnica.

Idzie dalej. Ja za nią. Wchodzi do sklepu rzeźnika.

— Dwa befsztyczki? Proszę bardzo (z westchnieniem) może panna Cezaryna będzie mogła szepnąć panu Herriot na uszko, że my wcale nie zdzieramy. Więcej wydatków, niż zysków.

— E, co mi pan będzie gadać. Mój pan wszystko sprawdził.

— Gdyby tak pan minister zechciał sam do nas zajrzeć — ryzykuje rzeźnik — powiedziałbym mu, wytłumaczyłbym mu.

— Nie ma czasu — odpowiada krótko Cezaryna. — Mięso za dużo kosztuje.

Rzeźnik wzrusza ramionami.

— Ciekaw jestem, w jaki sposób pan Herriot obniży ceny. Nie przeczę, że się zna na polityce, ale na mięsie... Trzeba być rzeźnikiem samemu. Można podpisać mądry traktat, a nie umieć odróżnić poledwicy od mostku.

Cezaryna nie da sobie dmuchać w kaszę.

— Mój pan prezydent jest burmistrzem Lyon, a w Lyonie mięso tańsze.

Wysłannik Candide udał się do mieszkania pana Herriot, by zaistnieć informację o prawdziwej kucharki — Stefani Piroux.

— Przypomniałem sobie czytając przed laty książkę p. t. „Spokośoby uwodzenia kobiet”. Jest tam rozdział o kucharkach. (Należy zasympować je pochlebstwami i wyrażać podziw dla ich umiejętności przygotowywania majonezowych sosów. Warto zaznajomić się ze sztuką kulinarną — rozmowa wówczas będzie iachowa, a niepozabawiona wdzięku).

— Ale Stefania jest nieczuła na pochlebstwa. Nie ją nie obchodzi polityczna działalność Herriota. Twierdzi, że interesuje ją tylko sprawa codziennego śniadania i obiadu.

— Dopóki pan minister będzie potrzebował mojej „kompetencji” — dopóty u niego pozostanę.

Ceny ją nie nie obchodzą, kry-

zys również. Dostaje przecież codziennie, ile chce pieniędzy, na zakupy.

Inny człowiek gabinetu Doumergue'a — grubas Cheron, obecnie minister sprawiedliwości, również walczy z kryzysem i dużo mówi o konieczności obniżenia cen. Wtrąca się do sklepikarzy, nawymyślał młynarzem.

Kucharka Cheron jest u niego „na służbie” od trzydziestu trzech lat. Siedemdziesięcioletnia starowina zna gusty swego pana, nawet naśladuje go w rozmowie, uśmiechając się szeroko a la Cheron i udzielając metnych odpowiedzi. Jest postrachem kupców. Sprawdza ceny i dokucza zbyt chciwym sklepikarzom.

— Co to znaczy? To śliwki podróżeli od wczoraj? — powiada groźnie.

— U Romalina kosztują to samo — odpowiada wystraszony kupiec.

— Oczywiście. Koalicja — koalicja zdziwców — powtarza zasłyszany frazes — Pan Henryk (tak

W obozie dla trędowatych

Misjonarze katolicy prowadzą na jednej z wysp, należących do archipelagu Filipińskiego, wielką kolonię dla trędowatych. W 501 domkach mieszka tu 5135 trędowatych. Duchowa opieka sprawują amerykańscy Jezuici, troską zaś o doczesne potrzeby nieszczęśliwców zajmują się zakonnicę przy pomocy personelu świeckiego. Wiele uwagi poświęca się zdrowemu sportom: stosowane są najnowsze zdobycze medycyny, dzięki którym u 77 proc. osób postęp choroby zostaje zatamowany i następuje stopniowa poprawa zdrowia. Po całkowitem zniknięciu oznak choroby uzdrowiony nie może jednak jeszcze opuścić kolonii, lecz w ciągu 3 miesięcy trzykrotnie musi stawać wobec komisji lekarskiej, która ostatecznie orzeka o powrocie do zdrowia. W ciągu 6 miesięcy po wyjeździe z kolonii trędowatych należy od czasu do czasu odwiedzać lekarza specjalistę. Dopiero po zastosowaniu tych wszystkich środków ostrożności można być pewnym, iż trąd całkowicie minął i nie ma obawy zarażenia innych osób.

nazywa ministra Cheron) mógłby coś o tem powiedzieć. Poczekajcie. Niech ja mu o tem wszystkiem opowiem.

— Ee... pani za dobra — pani tego nie robi — sumituje się kupiec.

Ludwika uśmiecha się pobłaźliwie i wędruje dalej.

— A pański camembert droższy niż gdzieindziej. Ojej — co to ja widzę? A toż żaden camembert, tylko go udaje.

— Skądże znowu. Pani Ludwiko! Przysięgam!

— Co? mnie pan to mówi? Znam się na rzeczy. W mojej wsi robią camembert. Skąd pan wziął te ładne etykiety, he?

— Na miłość boską, ani słowa panu ministrowi. Dostyc ma do roboty i bez tego. Ta afera Prince'a. Nie zazdroścę mu.

Ludwika — kucharka filozofka nie zamierza wdawać się w kłopotliwą dyskusję.

— Jakto? — krzyczy w drugim sklepie — Za flaki osiem franków? To rozbój. W Lisieux, gdzie spędzam każdy urlop...

— Przewóz kosztuje. Wydatki. Komorne. Niech pani porówna sklep paryski ze sklepikiem w Lisieux.

— Powiadam, że za drogo pan liczy za flaki. Gdy się pan Henryk dowie, zajmie się tem.

Handlarz flaków dygocze ze strachu i przysięga, że uczyni wszystko co w jego mocy, aby obniżyć ceny.

— W pani wieku załatwiać sprawy, to męczące — ryzykuje dziennikarz.

— Cóż pan chce — gdybym nie wychodziła sama do miasta, toby ceny poleciały w górę w całym Paryżu.

Inne kucharki ministrów również wyszukują swoją uprzywilejowaną sytuację, terroryzując kupców — ale dobrze na tem wychodzi tylko ich chlebobawca. Zjada najtańsze befsztyki i flaki, i niefałszowany camembert. Candide na zakończenie ankiety wezwał ministra oświaty Berthoda, by zechciał ofiarować fioletowe palmy kucharkom francuskich ministrów, które są nie tylko „pomocnikami domowymi”, ale pomocnikami mężów stanu.

Muzyka piasku Odgłosy na plażach po odpływie

Ostatni numer „Nature” zawiera ciekawy artykuł przyrodnika angielskiego Ortona, na temat odgłosów, jakie słychać na plażach, po odpływie. Wędrując po piaszczystym brzegu, z którego cofnęło się tylko co morze, wsłuchiwał się Orton w osobliwy dźwięk, podobny do westchnienia wydobywający się z ziemi. Poeta znalazłby jakie sugestywne określenie dla tej wzdychającej plaży, przyrodnik odkrył przyczynę dziwnego muzyki. Mokra powierzchnia piasku pełna jest maleńkich bomb, zawierających powietrze —

owe bomble pękają, a powietrze wydobywa się z nich z lekkim szmerem. Orton postanowił sprawdzić, w jaki sposób tworzą się takie „powietrzne wulkaniki”. O-tóż piasek na plaży letnią porą jest bardzo suchy. Podczas przypływu fala posuwa się z niezmierną szybkością, zatrzymując powietrze pod powierzchnią piasku, gdy się cofnie — zaczynają się tworzyć na piasku bomble, które pękają pod wpływem nacisku wywieranego na całą powierzchnię wybrzeża przez wibrujące fale.

O czym marzą panienki...

„Marianne” ogłasza wynik ankiety, przeprowadzonej przez nauczyciela w szkole dla dziewcząt.

Oto parę odpowiedzi, na zapytanie: „Cobyś zrobiła, gdybyś uzyskała stypendjum na podróż”.

— Gdybym miała stypendjum „na podróż” — pisze jedna z panienek — pojechałabym do Włoch. Włochy to piękny kraj. Napróżd udałabym się do Rzymu, zatrzymałabym się w szykownym hotelu. Wyobrażam sobie mój dzień w następujący sposób. Mieszkam w pięknym pokoju z własną łazienką. Po kąpieli siadam w oknie i patrzę na cudną panoramę, rozciągającą się przed memi oczami. Czekam otwarcia kin. Zwiadam kolejno pierwszorzędne kina. Prowadzę wystawne życie. O siódmej idę z wizytą do Watykanu, żeby zobaczyć Papieża.

Z Rzymu pojechałabym do Algieru, gdzie osiedliłabym się na dłużej. Następnie wracam do Paryża — na

chwile. Mam w Paryżu pied à terre. Trzy miesiące spędziłabym w Biarritz, żeby uprawiać golf i pływanie. Wieczory spędzałabym w kasynie. Miałabym oczywiście własny samochód z szoferem, ale przeważnie sama siedziałabym przy kierownicy.

Na zakończenie dodaje: „Nie odstawiając sobie niczego, byłabym wspaniałomyślna i hojna dla biednych, a wyrozumiała dla służby”.

Wypracowanie to pisała osiemnastoletnia panna z burżuazji francuskiej, słuchaczka pierwszego wydziału w szkole technicznej.

Inna „panienka” oświadczyła, że chciałaby pojechać do Brazylii i całe dnie spędzać w kinie. Trzecia opracowała dokładny program podróży, w stylu Cooka, z datami i godzinami odjazdów. Podróż Marsylja — Maroko miałaby trwać cały miesiąc, ale bez zwiedzania miast, „bo to nudne”.

Jak rzekomi „akademyści” oszukali artystów scenicznych

KALISZ, 24.9 (tel. wł.). W ubiegłym tygodniu przyjechał do Kalisza zespół artystów rewjowych, który ostatnio przez dłuższy czas występował w „Bagateli” w Łodzi. Artyści ci zostali sprowadzeni przez dwóch młodych ludzi, legitymujących się działalnością z ramienia Akademickiego Koła Kaliszan w Kaliszu, którzy omówili kilka imprez w różnych miastach Polski, m. in. w Pabjanicach, Ostrowie Wlkp., Kaliszu i Zduniskiej Woli z tem, że imprezy te finansuje wspomniane Koło Akademików, a dochodem dzielą się po połowie. Tytułem zaliczki artyści otrzymali dwa czek z podpisem jednego z młynów kaliskich.

Pierwsze przedstawienie odbyło się w Pabjanicach i powiodło się nienajgorzej. Z drugim przedstawieniem pojechano do Ostrowa, gdzie z braku koncepcji, jakiej nie posiadali iniektorzy, przedstawienie odbyło się nie mogło. Przyjechano więc do Kalisza, gdzie kasa wynosiła zaledwie 200 zł. Pomimo to artyści zamierzali grać i grali, chociaż zostali oszukani, bo jeden z impresarijów zabrał pieniądze i ułotnił się.

Jak się następnie okazało, doręczone artystom cekie były nielegalne, co jeszcze bardziej artystów utwierdziło w przekonaniu, że zostali niegnie oszukani.

Józef Gwizdalewicz

Z pamiętników szofera Buldog

Buldog słysząc moje wymysły, cożosił się i z miejsca trzasnął mnie w pysk. Ja jemu przedko odlałem z procentem, on rzucił się na mnie z kulakami i szepelił się jak dwa śmierdzące wrogowie. Odbieranie życia, wyszło nam z głowy. Myśleliśmy teraz tylko o tem żeby pobiec i pokonać jednego. Tarzaliśmy się po trawie, gdy wtem obok gwizdnął przeraźliwie przejeżdżający parowóz, ciągnący za sobą kilka wagonów. Przestaliśmy biec się i usiedliśmy zdumieni na trawie. Kiedy kolejka już przejechała, Buldog ryknął płaczem, rzucił się mi na szyję i mówił:

— Józiu kochany, stał się cud. Widział kochany kolego. Pobiliśmy się, widocznie w tem był palec Boży, żeby nas powstrzymać od śmierci samobójczej. Patrz przyjacielu, teraz tu leżałyby dwa tułowie z nogami, a głowy nasze sturlnęłyby się do rowu.

Plakałem z nim do spółki, myśląc sobie, że ja i takbym nie rzucił się pod pociąg, bo po licha umierać, jeśli można jeszcze pożyć na świecie. Była już późna

było. Buldog wyjął fajki, poczęstował mnie, zapaliliśmy sztachetę się z zadowoleniem. O północy do domu mowy nie było, bo tam nas czekały bity jak się patrzy. W końcu Buldog mówił:

— Wiesz co Józiu? Pójdziemy piechotą do majątku dziedzica, który mieszka w naszym domu. Tam będziemy pracowali i mieszkali.

— A daleko jest ten majątek?

— Będzie mil dwanaście. Ja tam jeździłem po rzeczy dziedzica i drogę znam dobrze. Będziemy mu sielić prosto za Jerozolimskie rogatki.

— No, dobrze, pójdziemy. Ale co my będziemy jedli po drodze? Pieniądzy nie mamy.

— Co ty się martwisz! Mało po drodze rośnie, marchwi, buraków i straków? A jak już będziemy na miejscu, to nas tam dobrze nakarmią, bo powiem, że nas przyślą do roboty sam pan dziedzic.

Szliśmy Aleją Jerozolimską w stronę rogatki smutni, mając głowę spuszczone jak dwa skazańcy. Wtem usłyszeliśmy grzmoty. godzina. O śmierci już mowy nie

4)

Zanosilo się na wielką burzę. Patrzymy, a za rogatkami niebo otwiera się od błyskawic. Jak tutaj iść w taką straszną burzę? Buldog mówi:

— Wiesz co Józiu? Dzisiaj już w drogę nie pójdziemy.

— No, musowo, — odpowiadam — bo patrz, jak tutaj iść na takie pieruny, a deszcz będzie, lał napewno ulewny.

Właściwie to lekaliśmy się burzy, lecz udając zuchów, mówiliśmy do siebie że szkoda naszych ubrań. Szliśmy przedko spowrotem. Zatrzymaliśmy się na górze, idąc do Nowego Świata, do Smolnej. Tam usiedliśmy na schodkach, mając nad głowami blaszany daszek. Deszcz lał jak z cebra. Będąc bardzo zmęczeni całodziennymi przygodami, wtuliliśmy się w kącik i smacznie zasnęliśmy. Naraz, ktoś nas raptownie szarpnął, wołając głośnym głosem:

— Wstawajcie, żuliki!

Przebudziliśmy się i widzimy, że już jest biały dzień, a przed nami stoja dwaj stojkowi: jeden starszy z siwymi włosami, a drugi młody. Starszy z miejsca ryknął na nas, pytając, co my tutaj robimy, i co jesteśmy za jedni.

Buldog spoczętku zaczął kłamać mówiąc, że robiliśmy po fajerancie u Lilpopy i wracając z pracy schowaliśmy się przed deszczem, a że byliśmy bardzo zmęczeni pracą, więc zasnęliśmy. Stojkowi niegłupi, popatrzał na

nasze delikatne ręce i odrazu Buldoga trachnął w pysk, krzycząc:

— Wrosz, swołocz!

My dawać plakać i udawać ogromną rozpacz. Stojkos każe drugiemu stojkowemu nas zrewidować. Przy mnie nie nie znalazł, prócz chustki od nosa, przy Buldogu znalazł paczkę papierosów Bartek, scyzoryk i klucz od drzwi frontowych, którym Buldog zawsze wpuszczał lokatorów. Stojkowi widząc klucz i nożyk, zaczął się śmiać i mówić:

— Ach wy wory, miatieżniki żuliki, to ja teraz widzę, że złapałem dobrych ptaszków. Pójdziecie odrazu do więzienia i macie murowane trzy miesiące za nóż i trzy miesiące za ten klucz!

My w strachu plakaliśmy jak małe dzieci. bo jakto? Za głupi scyzoryk i kluczyk, cierpieć w więzieniu sześć miesięcy? Buldog ryczał, a ja jemu pomagałem. Wołaliśmy że jesteśmy niewinne chłopaki, prosiłbśmy go żeby on nam darował i nie hańbił naszych nazwisk. Wtedy stojkos nam powiedział, że daruje nam karę więzienia, ale musimy powiedzieć mu całą prawdę, skąd idziemy i dokąd. Buldog odrazu przestał plakać i zaczął opowiadać całą prawdę, o łódce, o rozbiciu głowy chłopakowi i o naszej ucieczce z domu na całe życie. W końcu powiedział nasze dokładne adresy.

Stojkowi gwizdnął i za chwilę zjawił się stróż nocny. Stojkowi zwrócił się do niego:

— Słuchaj dwornik masz w kieszeni, ten wielki dziesięciostrzałowy rewolwer?

— Mam.

— To słuchaj. Masz tu na kartce napisane adresy tych dwóch zbrodniarzy. Zaprowadzisz ich, do rodziców. Wrazie jeśli, który z nich zechce pociąć, to wyjmij rewolwer i wal mu prosto w łeb.

Za chwilę szliśmy w towarzystwie „papugi” w stronę naszych domów. Buldog już nabral odwagi. Wyjął z kieszeni papierosy, którymi poczęstował naszego opiekuna i mnie. Całą drogę myślałem o batkach, jakie mnie czekają od ojca. Nareszcie stanęliśmy przy bramie domu Buldoga. Stróż nocny zadzwonił, po kilku minutach ojciec Buldoga uchylił maleńki otwór w bramie, a widząc kogo stoi, pobiegł przedko do mieszkania po pleciony skórzany bat. Wtedy dopiero otworzył bramę i krzyknął groźnie:

— A mam cię synku kochany!

Złapał Buldoga w swoje łapki, wciągnął do bramy, gdzie zaczął go lać batem z całej siły. Buldog krzyczał na całe gardło, wołał na pomoc Pana Boga i Wszystkich Świętych. Ja żalując Buldoga, krzyknąłem po rusku grubym głosem, przez otwór w bramie:

— Nie bić tam, tego dziecka!

Ja was za to wsadzę do uczastka.

Ojciec przestał go bić, chcąc go baczyć kto na niego tak groźnie krzyknął. Kiedy zobaczył, że to ja, że złości uderzył batem, przez ów otwór i nazwał mnie draniem i łobuzem, a za chwilę usłyszałem znów krzyki bitego. Stróż prowadząc mnie dalej zaczął wypytywać:

— No, wy chłopaki musieliście fest nabrozić, jeśli jego ojciec tak mocno grał.

Opowiedziałem nasze przygody, zaznaczając że jestem niewinny. W chwili kiedy stuknął w drzwi naszego mieszkania, byłem cały mokry ze strachu, ojciec mój stróżowi podziękował za przyprowadzenie mnie i popatrzył na mnie wzrokiem tygrysa, spoglądając go na swoją ofiarę. Po odejściu stróża powiedział:

— Teraz to ja tobie dam porządne bity na zadatek, a wieczorem, jak będziesz rozebrany w łóżku, to dostaniesz resztę.

Zdjął pas, i zaczął mnie bić bez litości. Bił mnie długi czas. Wzywałem ratunku, krzychałem na matkę, że jestem niewinny, lecz już i matka mnie wcale nie broniła. Bił mnie ojciec dotąd, aż się ogromnie zmęczył. Po batkach zamknął mnie na klucz w drugim pokoju, zaznaczając, że wieczorem będzie jeszcze ze mną rozmawiał.

(C. d. n.).

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefony 6.66.99 (sekretariat, dodatkowy red. naczelny); 6.66.62 (dział polityczny i ekonomiczny); 6.66.69 (dział miejski i liter.-art.); 6.66.59 (miejdzynastowy). Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 11—12.

ADMINISTRACJA: Warszawa, 7goda 1. Telefony: Administracja i Zarząd 691.64. Prenumerata 691.66. Wydział ogłoszeń 691.56. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny — A B C Warszawa. Konto P. K. O. Nr. 13550.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Kalisz, Aleja Józefiny 11, tel. 209; Piotrków Trybunalski, Stowackiego 9, tel. 59; Włocławek, Cyganka 26, tel. 136.

PRENUMERATA: miejscowa (z odnośnieniem do domu) i zamiejscowa — zł. 4.50 miesięcznie. Konto ciekowe P. K. O. Nr. 13550.

Ceny ogłoszeń: za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpalty (na wszystkich stronach po 6 szpalt): na 1-iej stronie — 1 zł., w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty (specjalne) — 1.50 zł., lekasie — 20 gr. Nekrologia po 30 gr. Drobne po 20 gr. za wiersz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczy się za oddzielne wyrazy, a tusty druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznacza się cyfrą (N.), a komunikaty specjalne cyfrą (Kom.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, tel. 691.56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.

Kierownik: Tadeusz Ucieszyński.